Nr. 14 Rok 5 Kraków, dnia 2 kwietnia 1944 Cena 40 gr.

ER POLSKI



Kapelusz wiosenny

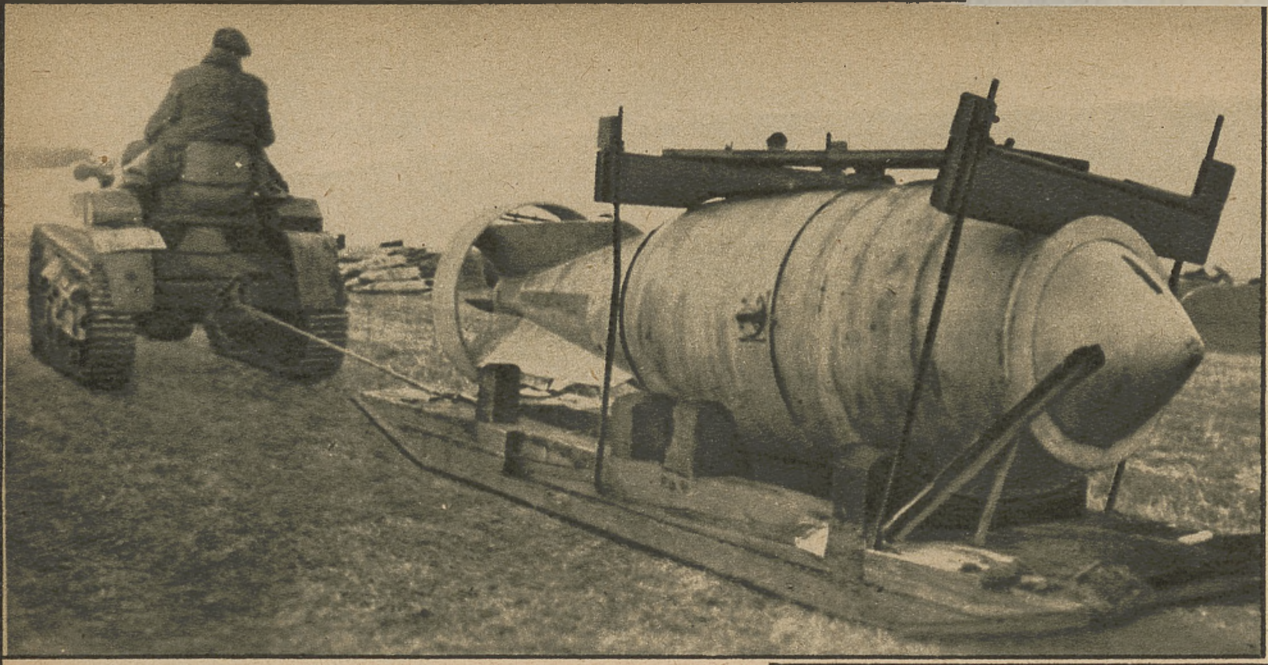
Fot. Atlantic

TYGODNIK WOJENNY

Na lewo:

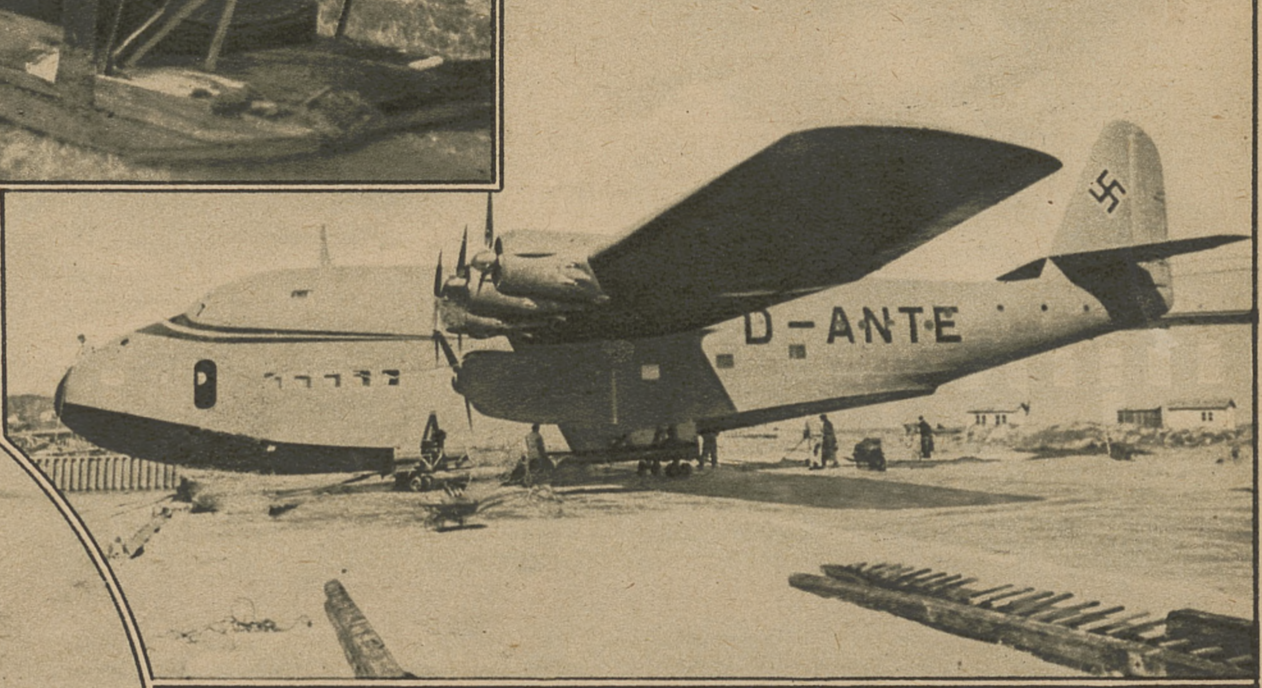
PRZYGOTOWANIA NA LOTNISKU

Dowóz ciężkich bomb dla samolotów, które niebawem wystartują do ataku na amerykańskie wojska pod Nettuno.



NAJWIĘKSZY HYDROPLAN LOTNICTWA NIEMIECKIEGO

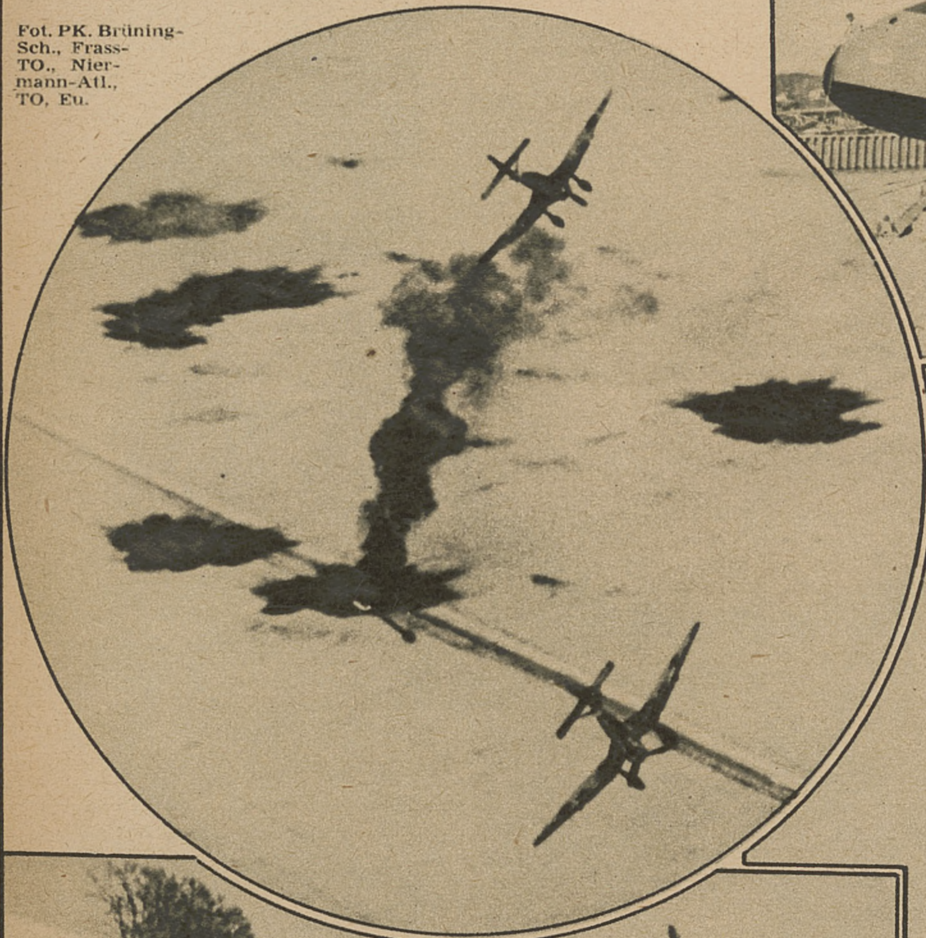
Posiada on 6 motorów i dwupokładowy kadłub o długości 37 m, a wysokości 5,6 m. Rozpiętość skrzydeł tego olbrzyma wynosi 46 m. Na dolnym pokładzie można pomieścić 100 żołnierzy wyposażonych w całkowity rynsztunek wojenny lub przetransportować równoważne im obciążenie. Armaty i karabiny maszynowe czuwają nad bezpieczeństwem tej latającej fortecy.



Poniżej:

Niemieckie nurkowce obrzucają bombami sowieckie drogi transportowe. Jedna z bomb wybucha właśnie na środku drogi.

Fot. PK. Brüning-Sch., Frass-TO., Niermann-Atl., TO, Eu.





Na lewo:

NIEMIECKI ODDZIAŁ ZWIADOWCÓW NA WYSOKOŚCI 2000 METRÓW

Droga po tym stromym, pokrytym lodem zboczu jest tak ciężka, że jedynie bardzo wprawni alpiniści mogą się w tym terenie pewnie poruszać.

Na prawo:

CIĘŻKI CZOŁG

Na krótko przed wyruszeniem na wroga poddaje się czołg jeszcze raz starannemu przeglądowi.



ŻOŁNIERZE Z DYWIZJI IM. T. KOŚCIUSZKI W WARSZAWIE

Do Warszawy przybyło ostatnio trzech żołnierzy z tzw. dywizji im. T. Kościuszki, a mianowicie: Lisowski z majątku Jodliszki koło Lidy, Klusek spod Lwowa i Wierzbicki ze wsi Skibnia w powiecie Sokołów Podlaski. Żołnierze ci złożyli w tych dniach wizytę w jednej z fabryk warszawskich, aby podzielić się wrażeniami z przeżyć w Rosji Sowieckiej ze swoimi rodakami.

W czasie przerwy obiadowej pracownicy zakładów mieli możność usłyszeć z ust bezpośrednich świadków, którzy przeżyli całą gehennę w „raju" sowieckim, o stosunkach jakie tam panują. W prostych niewyszukanych słowach, żołnierze ci opowiedzieli zebranym co przechodzili Polacy w bolszewii. Głód, stałe wysyłki na zapadłe stepy Kazakstanu i Sybiru, przymusowe wcielanie do armii, władza panoszącego się żydostwa — oto obraz dzisiejszej Rosji Sowieckiej. Nie mogąc dłużej znieść wprost nie do opisania stosunków, żołnierze ci, nie bacząc na grożące im niebezpieczeństwo ze strony popędzających ich do walki żydów, którzy strzelali do uciekających, przeszli na stronę niemiecką.

Licznie zgromadzeni w dużej hali fabrycznej pracownicy z dużym zainteresowaniem, prawie przez godzinę słuchali wstrząsających w swej grozie opowiadań b. żołnierzy z dywizji kościuszkowskiej. Następnie robotnicy mieli możność zadawać przybyłym żołnierzom pytania na interesujące ich tematy.

Na zakończenie delegat pracowników w imieniu zebranych podziękował przemawiającym za przedstawienie stosunków panujących w Rosji Sowieckiej.

Na prawo i poniżej:
Pracownicy zakładów z dużym zainteresowaniem słuchają ciekawych opowiadań żołnierzy.







Fot: PW. 3. TO 2





Na lewo:
JAPOŃSKIE WOJSKA W CHINACH
Posterunek obsługi karabinu maszynowego na nasypie toru kolejowego obsadzonego przez Japończyków.

Powyżej:
ZWIADY NA PACYFIKU
Wielki okręt japoński spuszcza na morze szybką łódź, by spatrolować wody oceanu w promieniu kilkudziesięciu kilometrów.

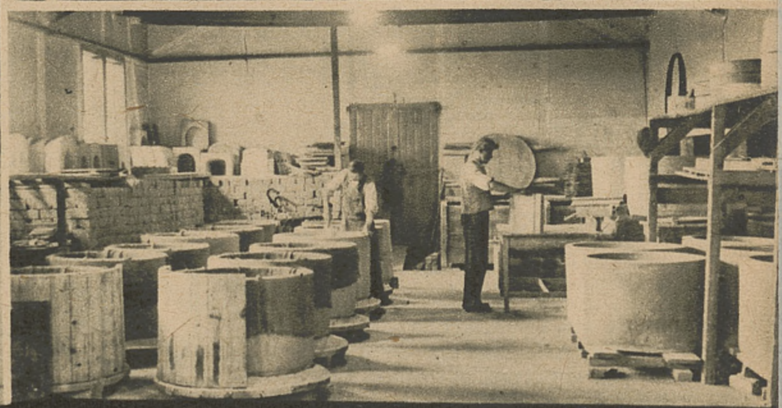
Na prawo:
Istna góra drobnych przedmiotów ze szkła zalega magazyn ekspedytury huty. Niebawem wywędrują one w skrzyniach w szeroki świat, by służyć codziennemu użytkowi.

Obok:
Ogólny piec hutniczy bucha żarem swych palenisk, kłując oczy jaskrawo-białym poblaskiem rozpalonego wnętrza. Że wokół panuje gorąco wprost nie do zniesienia, o tym chyba nie potrzeba zapewniać nikogo.

Poniżej:
Mieszanina surowców wprowadzoną zostaje w piec hutniczy. Tam, w wysokiej temperaturze kilkuset stopni utworzy się z niej masa szklana, służąca do wyrobów przemysłu szklarskiego.









Nie ma dzisiaj wśród cywilizowanego świata takiego zacofańca, któremu obcym byłoby pojęcie szkła. Ta przedziwna jednakże „materia", do której tak przecież przywykliśmy, którą znamy pod tylu najróżnorodniejszymi postaciami, przecież stanowi dla jakże szerokiego ogółu wielką niewiadomą — gdy spytamy: co to jest właściwie szkło? Jeżeli chodzi o „kwestię zasadniczą", to człowiek nie może sobie stanowczo przypisywać zasługi wynalezienia szkła, pomimo faktu, że od przeszło 5.000 lat wytwarza je i obrabia. Najstarszym, by tak rzec, szklarzem, jest przyroda. Budowa tworów wulkanicznych wskazuje na powstanie ich ze stężenia płynnych stopów o bardzo różnorakim składzie, mogących uformować się podobnie — tylko skutkiem kolosalnie wysokich temperatur, domeną których było i jest wnętrze kuli ziemskiej. Części składowe skamieniałej lawy są w swej istocie identycznymi ze składem szkła, brakuje im tylko przeźroczystości, będącej już atoli dziełem procentowego zestawienia stopów i wzajemnego stosunku ciężaru gatunkowego tychże. Epoki ludzkiego postępu, więc kamienna, brązu i żelaza, pchnęły cywilizację globu od niezaradności pra-czasów do ery najnowszych, bo nam współczesnych, wytworów i wyczynów bajecznie wprost rozwiniętej techniki. Szkło także nie pozostało w tyle na ogólnej drodze doskonalenia się bytu ludzkości, ale zajęło ważne i poczesne miejsce w rzędzie wciąż nowych zdobyczy człowieka. Abstrahując od ulepszenia warunków życiowych, skutkiem zastosowania szkła w wielu dziedzinach naukowych można było wydrzeć naturze niejedną tajemnicę, zbadać jej siły i zaznajomić się z prawami rządzącymi makro- i mikrokosmosem, czyli wglądnąć w świat istot niedostępnych dla naszych oczu, gdy im brak przyrządów powiększających — oraz spojrzeć w dalekie twory wszechświata z pomocą lunet i aparatur astronomicznych. Znaleziska i wyobrażenia figurowe z 2.500 r. przed Chr. w Egipcie a 2.000 tejże ery w Chinach, wskazują na posługiwanie się szkłem w życiu codziennym, już w owych odległych czasach cywilizacji. Można przyjąć, że egipscy kapłani znali sztukę wytwarzania szkła, doszedłszy do niej drogą albo badań albo, co najmożliwszą jest rzeczą — przypadkowo. Oni też byli właściwymi założycielami gałęzi przemysłu szklarskiego na świecie, a tajemnica ich, chociaż długie wieki zapewne pilnie strzeżona, przecież wywędrowała wreszcie z granic krainy Sfinksa.

W czasach rzymskich wytwarzano przecież wspaniałe naczynia szklane i przepiękne mozajki, a szkło miało już zastosowanie w oknach, szczególnie zaś jako płyty doprowadzające światło z góry do sal, komnat i łazienek patrycjatu rzymskiego.

Tajemnica wyrobu szkła była i w następnych stuleciach zazdrośnie strzeżoną, na co wskazują specjalne prawa i ustawy wielu państw, spod mnóstwa których na pierwszy plan wybijają się obostrzenia republiki Weneckiej z XIII wieku. Ostatni tego rodzaju sanktuariat z roku jeszcze 1762 zabrania rozpowszechniania wiadomości o fabrykacji szkła pod karą utraty majątku a nawet pod karą śmierci.

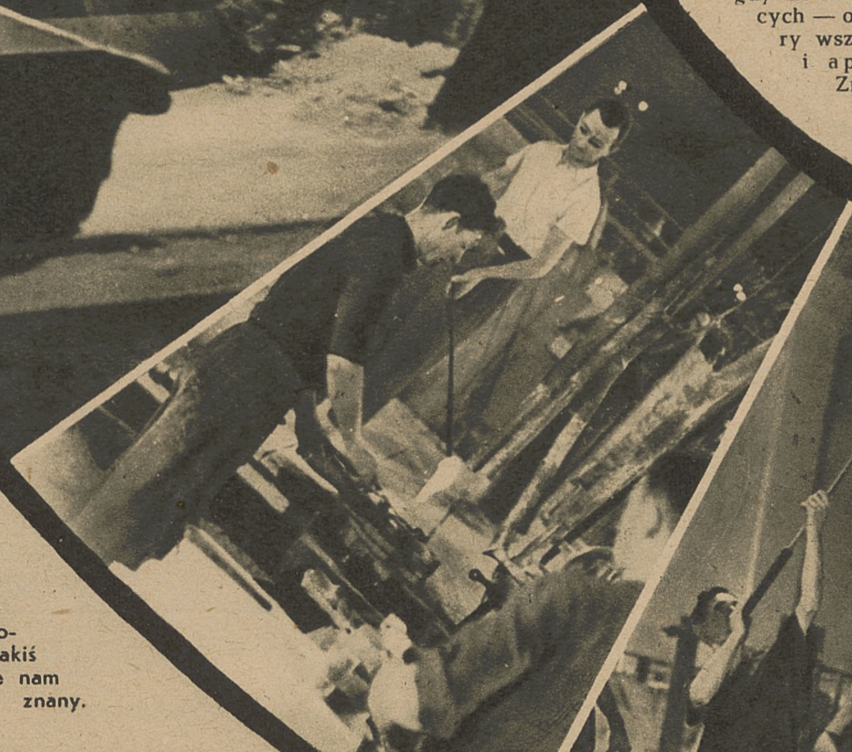
Z wyżej wymienionych względów stan „mistrzów szklarskich" jakoteż robotników zajętych w hutach szkła był otoczony szczególnym poważaniem i rzecz ciekawa, w owoczesnym separatyźmie klasowym wolno im było wstępować w związki małżeńskie nawet z wysoko postawionymi domami. Miało to miejsce nie tylko w starodawnej centrali przemysłu szklarskiego, a więc w Wenecji, ale także skutkiem osobnych edyktów, we Francji.

Pomimo zgoła wyjątkowego stanowiska społecznego sił, związanych z wytwórczością szklarską, pomimo wielu następnie ognisk przemysłu szklarskiego, z których Czechy osiągnęły nawet prymat światowy, przecież istotne wiadomości fachowe nie objęły nigdy szerszego grona „wtajemniczonych".

Rozwój szklarstwa nowoczesnego osiągnął właściwie swe szczyty dopiero w ostatnich dziesiątkach lat, a to na skutek bardzo różnorodnego stosowania wytworów szklanych w przemyśle i technice. Rozróżniamy też kilkanaście zasadniczych rodzajów szkła, a to: szkło okienne, lustrzane, gospodarcze, szkło do wyrobu sprzętów, szkło butelkowe, szkło przemysłu oświetleniowego (reklamy, transparenty, neony, żarówki itp.), szkło luksusowe, optyczne i laboratoryjne.

Do wytworzenia masy szklanej używa się przerozmaitych surowców, właśnie w zależności od rodzaju szkła mającego być wyprodukowanym.

Jako najistotniejsze jednak składniki masy szklanej należy wymienić piasek kwarcowy, sodę wa-









Na prawo:
„Sopel" ognistej masy szklanej, zawieszony u czerpaka dostaje się właśnie do innego znowu rodzaju formy, gdzie zwalcowany lub spasowany utworzy jakiś przedmiot dobrze nam znany.

Na prawo:
Prosto z pieca wydobyta odrobina masy szklanej zostaje ustnie wydmuchana w „zasadniczy" kształt naczynia takiego czy innego rodzaju, by później „nabrać wyglądu" w odpowiedniej formie.

Na prawo:
Obiadowa przerwa w pracy gromadzi w wydawalni posiłków personel roboczy huty.

Fot. Borek





W ŻARZE PIECÓW HUTNICZYCH

Powyżej:
Badanie „barwy" szkła na gotowych już naczyniach pod optycznym przyrządem, ma na względzie ustalenie odpowiedniej odporności wyrobów, wymaganej dla towaru opuszczającego hutę.

Powyżej na lewo:
Pracownia „betoniarek" w hucie szkła, to też ważny uboczny dział fabryki. W piecu niszczeją co pewien czas strawioną żarem kadzie betonowe, w których topi się masa szklana, trzeba je więc móc natychmiast zastąpić nowymi.

Na prawo:
„Wydmuchiwacz", zapoczątkowawszy kształt mającego powstać wyrobu, wkłada przedmiot obrabiany do właściwej formy.

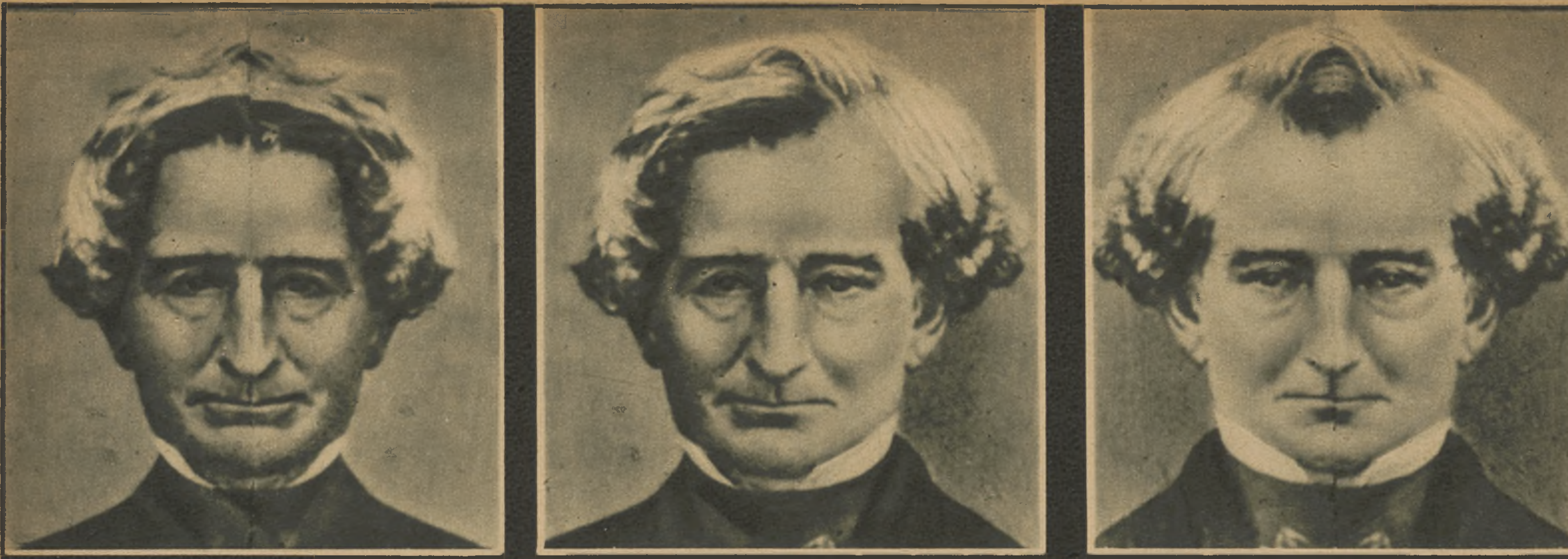
pienną, wapno, spat polny czyli krzemionko-glinkę skaleniową, sól glauberską (siarczan sodu) oraz różnorodne chemikalia.

Temperatura topienia takiej mieszaniny jest bardzo wysoką i leży w granicach 1400 do 1700° C. Skoro ów proces zaistnieje w specjalnych hutniczych piecach, zniża się temperaturę do 1110°, by umożliwić w niej obróbkę masy żaro-płynnej. Gdy kompozycja szklana opuszcza piec, posiada zawsze nie mniej jak 800 do 900°, nadając się w tym stanie do prasowania, walcowania, wydmuchiwania czy też do poddania jej działaniu maszyn. Wyprodukowane którymkolwiek z tych sposobów naczynia albo przedmioty wymagają teraz powolnego ostudzania, od tego bowiem procesu uzależnioną jest trwałość i odporność wyrobów szklanych. Tak wyprodukowane „szkło" poddanym bywa następstwem rzeczy wykończeniu, wygładzeniu, wyszlifowaniu czy ozdobnym cięciom, do czego zna dzisiejsza technika wielką ilość metod i sposobów.

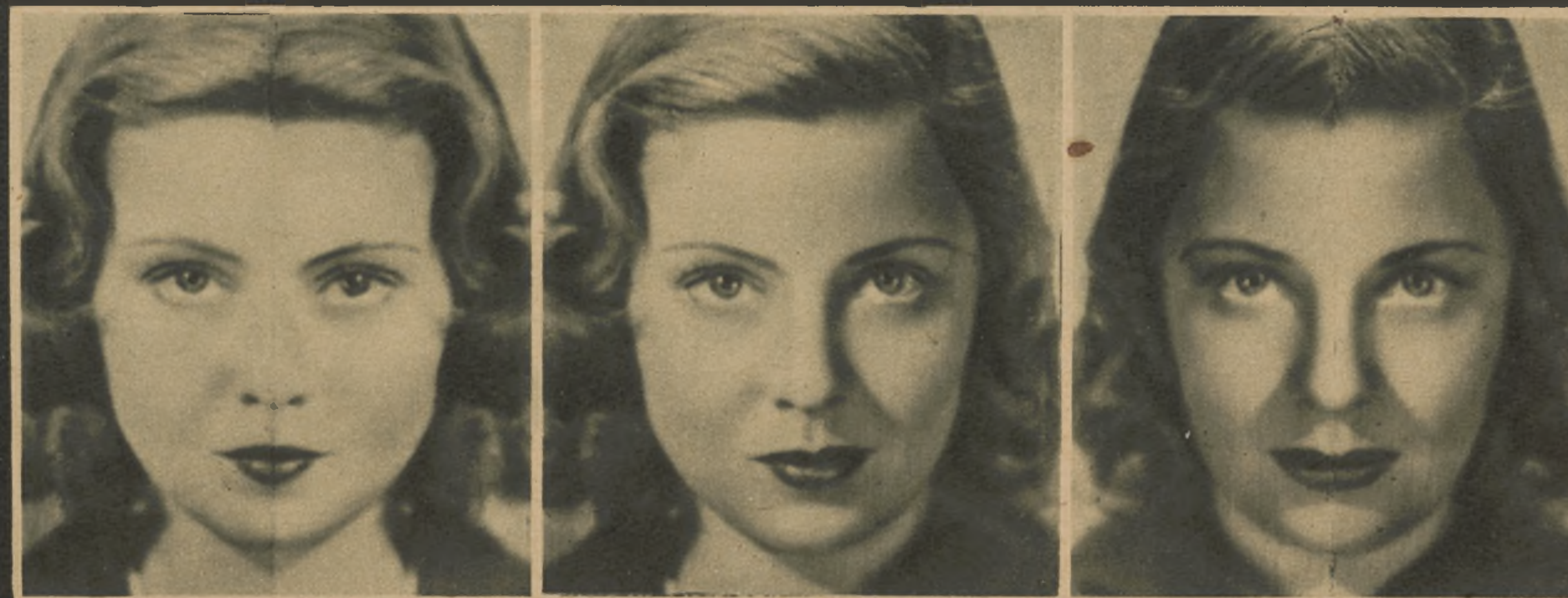
Poniżej na lewo: Oto aparatura „sortownicza", eliminująca nieodpowiednio lub błędnie wykonane wytwory szklane.

Poniżej: Wydmuchane z płynnej masy szklanej butelki, zostają następnie „hartowane" w specjalnych temu celowi służących piecach hutniczych.





Każdy człowiek ma 3 twarze!







Mało jest osob o idealnie symetrycznych rysach twarzy; przeważnie lewa połowa różni się nieco od prawej. Każdy człowiek więc ma ładniejsza i brzydsza stronę twarzy. Co za rewelacja! — zawołacie — przecież to nie do wiary! Aby przekonać niewiernych pozwolimy sobie zademonstrowac malenki eksperyment. Na stronicy tej zamieściliśmy po trzy fotografie sześc u rożnych osób. Fotografia środkowa jest zawsze oryginalnym zdjęciem „en face", danego osobnika. Zdjęcie z lewej strony powstało przez złożenie dwóch fotografii prawej połowy twarzy, po prawej zaś jest montażem dwóch lewych części twarzy tego samego człowieka. Jak widzimy obie połowy twarzy ludzkiej różnia się nieco od siebie, a niekiedy występuja dość znaczne nawet różnice. Bardzo ciekawie tłumaczy medycyna powyższe zjawisko. Otóż mozg ludzki składa się z dwóch półkul, z których każda unerwia inną częsc twarzy, większość bowiem włokien nerwowych wychodzących z prawej półkuli mózgu dąży ku lewej połowie ciała i na odwrót. Jeżeli pracujemy prawą ręką wtenczas zarazem pracuje i rozwija się lewa półkula mózgu, u leworękich zaś, prawa. Normalnie więcej używa się prawej ręki niż lewej, dlatego też lewa połkula mózgu jest lepiej rozwinięta niż prawa. Wpływ tego różnego rozwoju półkul mózgowych odbija się na rysach twarzy ludzkiej, co właśnie nam uwidaczniają obok zamieszczone zdjęcia. Piękne panie przesiadując długie godziny przed lustrem odkryły ten fakt, nie zastanawiając się zresztą nad jego przyczyną i przy fotografowaniu się zwracają zawsze ku kamerze fotograficznej urodziwszą stronę swego oblicza. (W górnym rzędzie zamieszczone zdjęcia są fotografiami francuskiego kompozytora Hektora Berlioza). Fot: Atlantik 2, Archiw 1





Pan Minister

napisał: BROTYCZ

Zbliżał się koniec marca gdy znany w hiszpańskim miasteczku Kantillana kupiec, pan Alfonso Cifar zasiadł w kantorku obok sklepu, i zabrał się do skontrolowania rachunków na podstawie faktur i różnych ofert handlowych, które należało uregulować w kończącym się okresie kwartalnym.

Późno już było a pan Cifar wtłoczony swym okazałym korpusem we fotelu, ciągle jeszcze wertował księgi, coś tam notował, obliczał, w końcu zadowolony widocznie z rezultatu; zakończył pracę, przeliczył skrupulatnie kasę, a zapaliwszy znośnie woniejące cygaro, odsapnął z ulgą — syt chwały. Pan Alfonso Maria Cifar był typowym kupcem w którego ciągle ruchliwych oczach przebijały się jowialność, z pewną przymieszką chciwości i sprytu handlowego.

Intelektualnie nie był nigdy orłem. Karierę swoją rozpoczął od chłopaka sklepowego, a gdy później został subiektem — pojął żonę z bogatej rodziny rzeźnickiej. Otrzymał odpowiedni posag i wkrótce otworzył sobie kolonialny sklep na głębokiej prowincji, gdzie dorobił się wcale pokaźnego majątku.

Czując się jak to mówią: „na pewnych nogach" marzył teraz pan Alfonso by mógł zająć jakieś naprawdę wybitne stanowisko społeczne i odpowiedni do tegoż tytuł. W mieście „przezywano" go wprawdzie „dyrektorem", a to z racji, że kiedyś tam piastował godność „zastępcy dyrektora" miejscowego banczku zaliczkowego, zlikwidowanego jednak niebawem z powodu nieudolnego kierownictwa. Panu Cifarowi tytuł ten już nie imponował, gdyż cierpiał na niezaspokojone bardziej wysokosiężne aspiracje.

Był nawet czas że miał szansę otrzymania godności ojca miasta. Opowiadano sobie szeroko w miasteczku, że pono wiele kilometrów kiełbasy i antałków alkoholu kosztowały pana Alfonso owe nieszczęsne wybory. Niestety wszystkie starania, i agitacje, spaliły sromotnie na panewce, a to tylko wskutek intryg, zawistnych i chciwych osobników przeciwnego obozu. Burmistrzem został szewc, ku oburzeniu pani Cifarowej, która przedwcześnie sprawiła sobie aksamitną czarną toaletę licząc na pewne, że zostanie panią burmistrzową. Wobec tego, bohater nasz był nadal zmuszony sprzedawać rodzynki i ważyć pieprz w swoim sklepie.

Pan Cifar nie tracił jednak nadziei, że prędzej czy później, wybije dla niego szczęśliwa godzina, i że kiedyś zostanie luminarzem miasta, bo „chcieć to móc!". A że państwo Cifarowie oboje bardzo tego chcieli, więc nie ulegało żadnej wątpliwości, że tak się stanie.

— Wszystko przychodzi na czas, kto umie czekać — prawił wielki Salomon. Więc i pan Alfonso czekał cierpliwie.

Tymczasem zapalone cygarko kończyło się. Pan Alfonso strzepnął troskliwie utrzymany popiół cygara, a ziewnąwszy przeciągle zabierał się już do opuszczenia kantoru, gdy naraz głośnym terkotem zawarczał telefon.

— Hallooo!... kto mówi? — zapytał Cifar głosem znudzonym.

— Proszę mówić ze stolicą. Łączę! — zapowiedziała telefonistka.

— Hm,... któżby to mógł być? — mruknął pan Alfonso wielce zdziwiony. I zaczęła się następująca rozmowa:

— Czy tam pan Alfonso Maria Cifar kupiec? — spytał jakiś głos basowy.

— Do usług pana dobrodzieja, jestem we własnej osobie. Czym mogę służyć?

— Tu mówi naczelny sekretarz kancelarii głównej pana prezydenta. Zapewne wiadomo panu, że tworzy się nowy rząd, a w związku z tym, nastąpi powierzenie tek ministerialnych powołanym „ad hoc" mężom zaufania. Otóż prezydium na wniosek poważnego stronnictwa uznało za stosowne powierzyć panu panie Alfonso Maria Cifar tekę ministra handlu i przemysłu. Kierując się zasadą by tak odpowiedzialne kierownictwo tego działu spoczywało w ręku dzielnego zawodowca, jakim bezsprzecznie, wedle ogólnej opinii, jest pan panie Alfonso Maria Cifar.

Tu zerwał się pan Alfonso na równe nogi, a okrasiwszy oblicze słodkim, wniebowziętym uśmiechem, ukłonił się nisko przed telefonem i wyszeptał drżąco:

— O, la Boga!... zaszczyt to dla mnie niebywały! i... i...

— Przepraszam jeszcze nie skończyłem — przerwał mu bas w telefonie. — Otóż chodzi teraz o to, czy czuje się pan na siłach do przyjęcia tak zaszczytnego, a jednak bardzo odpowiedzialnego stanowiska?

— O, jeśli chodzi o siłę, to jestem silny, i zdrów jak nosorożec!... panie dobrodzieju!

— Doskonale! — zatem przyjmuje pan tekę ministra dla handlu i przemysłu?

— Doprawdy nie wiem jak mam dziękować za ten zaszczytny zaszczyt... he... he... ministerialny. (Ciągle kłaniając się) Tak to spadło na mnie niespodziewanie... że doprawdy nie mogę znaleźć słów... aby, że się tak wyrażę...

Pod wpływem nieoczekiwanej propozycji, czoło, i łysina pana Alfonso Cifara pokryły się perlistym potem, a ze wzruszenia dalsze słowa uwięzły mu w gardle, tak, że zamiast mówić, począł bełkotać niezrozumiale.

— Co pan mowi?... nic nie rozumiem! — odezwał się znów gromki bas w słuchawce.— Zatem przyjmuje pan tekę ministra czy nie?

— Ależ naturalnie Jaśnie Wielmożny Panie sekretarzu! Gdzieżbym śmiał odmówić!... Przyjmuję... i tego ten... starać się będę... bym, że się tak wyrażę, nie zawiódł pokładanych we mnie nadziei! — odpowiedział rozgorączkowany „in spe" minister, kłaniając się przy każdym słowie coraz niżej telefonowi.

— A więc sprawa załatwiona... proszę przyjąć panie ministrze moje najuniżeńsze gratulacje. Za kilka dni otrzyma pan minister dekret nominacyjny, i urzędową legitymację kolejową, uprawniającą go do bezpłatnej jazdy koleją żelazną, w salonce.

Tu znów nastąpiły czołobitne pokłony, i bezładne podziękowania.

— Ba... ba... bardzo dziękuję — całuję rączki panu sekretarzowi... za łaskawą... że się tak wyrażę ...łaskę. Gdy przyjadę salonką do stolicy, poproszę pana sekretarza na małe śniadanko... Doprawdy... przepraszam... ale z radości, i szczęścia słów znaleźć nie umię... ten tego... to jest... właściwie...

— Dobrze... dobrze!... cieszę się, że przyjął pan z ochotą swą nominację. Fakt ten daje niewątpliwą gwarancję że pod pana ministra kierownictwem, zakwitnie w kraju handel i przemysł w pełnym blasku. Zatem do widzenia w stolicy!

Już dawno telefon wyłączono, a pan Cifar stał ciągle jeszcze jak urzeczony i bił uniżone pokłony przed aparatem.

Gdyby ktoś teraz ujrzał okrągłą świecącą twarz naszego bohatera, jak nagle spoważniała wielkopańskim grymasem, zdumiałby się tą metamorfozą.

Pan Alfonso złożywszy z nabożeństwem słuchawki na widełki, splótł pulchne paluszki, i chytre oczy skierował na obrazek święty przed którym czerwone światełko pełgało.

Dziękował Opatrzności iż ziściły się jego marzenia najśmielsze, że nareszcie porządnie zaimponuje miejscowym łykom.

Chustką otarłszy zroszoną łysinę, zatarł z żywym zadowoleniem ręce i chodząc tam i z powrotem po kantorze — monologował:

— Minister!... pani ministrowa!... panna ministrówna... państwo ministrowstwo...— pieśnił się tytułami szepcąc do siebie.

— Hm! teraz porachujemy się! Ja wam pokażę co znaczy Cifar!... pan minister Cifar! To nie jakiś tam burmistrz w takiej dziurze jak nasza mieścina! Hm... hm, nie chcieli mnie zamianować burmistrzem... durnie!... zatracone kołtuny! Pluję na wasze godności. Dopiero stolica poznała się na mnie... ot, co!...

Pan Alfonso był tak upojony swoją nominacją i tak zamyślony nad swą świetlaną, pełną chwały przyszłością, że nawet nie zauważył swojej połowicy pani Peredy Cifarowej, która zaniepokojona dłuższą nieobecnością męża w domu, przyszła aby go wezwać do kolacji.

— Cóż tak gonisz jak opętany? czy są jakie nowe kłopoty? Chodź do stołu, wszystko wystygnie.

Na to pan Alfonso przystanął, a zwróciwszy swe rozradowane oczka wyrzekł pompatycznie: — Całuję rączki pani ministrowej!

Tu pani Pereda cofnęła się ku drzwiom zalękniona, sądząc, że jej Alfonso zwariował nagle.

— Proszę przyjąć do wiadomości, że przed chwilą otrzymałem telefoniczną wiadomość, że w dniach najbliższych nadeszlą mi ze stolicy tekę ministra handlu i przemysłu. No, i cóż ty na to, Peredo?

— Dostaniesz tekę?... ah, jak to dobrze! Właśnie chciałyśmy z Dolores (córką!) kupić ci teczkę na imieniny, no i nigdzie nie mogłyśmy dostać tutaj eleganckiej teki skórkowej.

Pan Cifar zmierzywszy Peredę pobłażliwym okiem odpowiedział z politowaniem:

— Ależ Peredko! Tu nie chodzi o zwyczajną tekę. Zrozum, że zostałem mianowany ministrem handlu i przemysłu. Nie chciałem przyjąć tej nominacji, ale jak sekretarz prezydialny zaczął prosić — i nalegać, musiałem wreszcie ustąpić dla dobra społecznego!... rozumiesz?

Na to wytrzeszczyła, Peredka oczy z osłupienia i zajęczała:

— Alfonsiu! Fonsiu!... czy ja dobrze słyszę?... może to sen!... Ty ministrem?!...

— Tak moja kochana! a ty panią ministrową... Nasza Dolores ministrzanką...; a Fredek... — Tu zacukał się pan minister, nie mogąc znaleźć odpowiedniego tytułu dla swojego synalka dryblasa.

— Fredek... ministrant! — dokończyła żywo małżonka.

— Eh!... „ministrant" — głupstwa pleciesz. Ministrant do mszy służy w kościele. Zresztą mniejsza już o to. Już ja mu wyrobię w stolicy odpowiedni tytuł no i stanowisko, zobaczysz...

— Możebyś i Dolores wyrobił tam jakąś dobrą posadę? Lata biegną, nie ma nadziei żeby wyszła zamąż a tak w stolicy... zawsze jakoś łatwiej...

— Zobaczymy! o tym potem. Poradzimy sobie jakoś.

Tak zakończyły się wstępne rojenia, i układy w domu państwa Cifarów.

Pan Alfonso postąpił roztropnie zwierzając się żonie z otrzymanej godności. Wiedział dobrze, że Pereda puści swój obrotny języczek w ruch i na drugi dzień będzie już wiedziało całe miasteczko, o sukcesie politycznym jej małżonka.

Przewidywania pana Cifara okazały się trafne, bo w drugim dniu po opisanym zdarzeniu zawrzało w tym grodzie jak w ulu. Nazwisko wybrańca losu nie schodziło z ust szanownych obywateli. Omawiano sprawę każdy na swój sposób zapatrywania i komentowano ją zastanawiając się, dlaczego właśnie padł wybór na tego „kupczyka" za którym nic nie przemawiało.

Pan Alfonso był wprost umęczony przyjęciami różnych deputacji, które składały mu wierno-poddańcze gratulacje, prosząc o poparcie ich spraw tam w górze przy ołtarzu.

Pan minister przyjmował oczywiście te hołdy z godnością, przyrzekając wszystkim „pójść na rękę" dla dobra społeczeństwa.

W domu naszego dygnitarza powstał również ruch niebywały. Krawcowe, szwaczki, spędzone z całego miasta, szyły suknie, pan minister zamówił sobie frak i smoking, aby godnie wystąpić mogli na mającym odbyć się raucie, a następnie w stolicy. Do sklepu prawie że nie zaglądał, wypatrując niecierpliwie nadejścia poczty, a w związku z tym zapowiedzianego dekretu, a może... (Bóg przecież łaskaw!) i jakiego orderu np. „złotego Runa" lub choćby niższego odznaczenia

I oto wręczono mu z poczty list w formie pakietu w dniu pierwszego kwietnia br. Nerwowo potwierdził odbiór przesyłki i drżąc cały ze wzruszenia, rozerwał śpiesznie kopertę. Z kilku starannie złożonych bibuł wyjął pan Alfonso arkusz welinowego papieru na którym maszynowo napisano następująco:

„Wielce Czcigodny Panie Ministrze Handlu! Prima-Aprilis!"

Co się działo w duszy biednego Alfonso, ten tylko zrozumie, kto doznał w życiu zawodow. Zgnębiony siedział teraz nad otwartym listem, biadając, że wszystkie rojenia i nadzieje jego rozpadły się w gruzy.

— Bardzo złośliwi są ludzie na świecie...

Jak wiadomość tę przyjęła pani Peredka i jej pociechy, nie mogę opisać, gdyż piórowieczne na tę myśl, wypada mi z ręki.

JAKTO JÓZEK PITOŃ DOSTAŁ SIĘ DO NIEBA...

OPOWIADANIE GÓRALSKIE

Nie było wiekszego awanturnika i zawalidrogi na całą Maruszynę jak Józek Pitoń z Brzyzka. Ale i nie obeszło się tez bez niego zadne wesele ani chrzciny w okolicy, bo grywał pieknie na gęślach i chociaz liczył sobie juz szósty krzyzyk, czuł sie dobrze i potrafił wypić za dziesięciu. Wprawdzie baba jego cięgiem labiedziła, ze do cna przemarnitrawi gospodarkę po ojcach, ale jak tu wytłumaczyć takiemu, co to nie wylewa za kołnierz i często szturchańcem poczęstuje?!

Jedno tylko co miał jeszcze dobrego w swej duszy na usprawiedliwienie, to odrobinę wiary niewygasłej, chociaz do cnoty w sercu wiele brakowało. Długich paciorków nie zwykł był odmawiać, ale tez i nie przezył ani jednego dnia, zeby się serdecznie a króciutko do świętego Patrona w niebie nie pomodlić!

Az tu raz zimą przyplątała się nie wiedzieć skąd chorość jakaś i zwaliła chłopa z nóg. Nie pomogło ani świstacze sadło, ani babskie okadzania rózne — nic! Trza było brać się w daleką drogę ku wierszykom, ku Panu Bogu!...

Przyjechał Dobrodziej wysłuchał chorego, zrobił co swoje i odjechał a wszyscy co znali starego Pitonia, dowiedziawszy się o jego śmierci, mówili miedzy sobą:

— Ej, nie wiera!... Cude bełoby, coby taki mioł dostać sie do nieba!...

Nie wiedzieli jednak o tym, co się stanie haniok w górze.

Tymczasem Pitoń burzył się do wrót raju i krzyczał z całej siły:

— Otwóz ze mi, święty Pietrze, otwóz zaroz, bo hetki domorzłek! a toz kurusowa i dujawica nad Tatrami!...

Święty Klucznik, nie przyzwyczajony do hałasów a tymbardziej do rozkazu (najwyzej Pana Boga), uchylił zlekka niebiańską furtę, a ujrzawszy przybysza rzekł spokojnie:

— Wiec to ty, stary tak się drzesz? No, to powiem ci: — szkoda czasu! nie puszczę cię! Wracaj tam skądeś przisel, bo tu dla takich jak ty — nie ma miejsca!

I zamknął mu przed nosem bramę. Ale górol z Brzyzka nie ustępował; uśmiechnon sie tylko i nie dając za wygraną — zacon znów kołatać do dzwierzy i krzyczeć:

— Ryty, przeraty! na pomoc! Na pomoc Wielki święty Józefie!...

Święty Józef istotnie pospieszył na to wołanie.

— Co się tu dzieje?

— Co się tu dzieje? — zapytał, zwracając się do świętego Piotra.

— E, nic takiego! — odrzekł zagadnięty. — Jakiś tam wesołek z Podhala chciał siłą wedrzeć się tu do środka, ale odprawiłem go z kwitkiem!...

— No zobaczymy, co to za jeden! — odezwał sie Opiekun Boski, otwierając bramę.

— Ach, to ty?!? — zawołał — ty, który codziennie do mnie modliłeś się i tyle świeczek spaliłeś na cześć moją!...

— Ba jakoz, tóć jo! dobry święty Józefie — odparł Pitoń, kłaniając sie pieknie kapeluskiem. — Ale czyzbyś mi odmówił tak, jak święty Pieter, malutkiego kącika w raju?

— No, wpuść go proszę — rzekł z uśmiechem święty Józef do świętego Odźwiernego.

— Nigdy! — odrzekł stanowczo święty Piotr. To mówiąc wyjął klucz z furty i szykował się do odejścia.

— A wiec odmawiasz?

— Odmawiam!

— W takim razie nie mogę opuścić i pozostawić mego wiernego czciciela. Poniewaz zaś nie chcesz, aby on był tu ze mną, muszę mu więc towarzyszyć. Wrócę za chwilę, nie zamykaj więc bramy...

To powiedziawszy, poszedł święty Józef do Najświętszej Panny.

— Chciej Matko Boza — rzekł pokornie — przygotować się do wędrówki, bo święty Piotr zmusza mię do opuszczenia nieba, ja zaś nie mogę z Tobą się rozłączyć!...

Nie pytając o nic, Najświętsza Panna posłuszna jak zwykle, Świętemu swemu Opiekunowi, żaczęła wybierać się w drogę. Najprzód poszła do Pana Jezusa.

— Synu mój! — rzekła — Chciej przygotować się do podróży, bo święty Piotr zmusza mię do opuszczenia nieba, ja zaś nie mogę rozstać się już z Tobą!...

I Pan Jezus zawsze posłuszny Najświętszej swej Matce, zaczął już przygotowywać się do wędrówki, ale naprzód udał się do Świętych.

— Przyjaciele moi! — rzekł — święty Piotr zmusza mię do opuszczenia raju, chciejcie mi więc towarzyszyć, bo nie mogę rozstać się z Wami!...

Święci nie kazali sobie tego dwa razy powtarzać i natychmiast apostołowie, męczennicy, dziewice i doktorowie postanowili pójść za Jezusem, ale wprzód jeszcze udali sie do aniołów.

— Czy wiecie, że stąd odchodzimy? — rzekli — bo święty Piotr zmusza nas do szukania sobie innego nieba, idziemy więc z Panem Jezusem i Najświętszą Panną, chociaż nam bardzo przykro z Wami się rozstawać...

— Jakto?... nasz Król i Królowa niebios odchodzą, a my mielibyśmy tu pozostać?!... O nie! Tak być nie moze!... Idziemy z Wami!!!

I Aniołowie, wziąwszy swe harfy złote, podązyli ochoczo za świętymi. Zbytecznie dodawać, że Bóg Ojciec i Duch Święty takze juz przygotowywali sie do podrózy, bo czyz mogli się rozłączyć z Panem Jezusem?

Wówczas dopiero klucznik niebiański spostrzegł ze zdziwieniem, ze wszyscy mieszkancy raju domagali się otwarcia bramy.

— Do widzenia święty Piotrze — rzekł Panjezus — wychodzimy, boś nie chciał tu wpuścić pewnego podhalańca, wielkiego czciciela mojego Opiekuna najlepszego!

Sługa Bozy, odwieczny furtjan zmieszał się ogromnie.

— Jakto? — myśli sobie — Ja miałbym pozostać tu sam jeden? Nie, nie, wolałbym raczej wpuścić wszystkich zawadiaków i krzykaczów z całego świata!...

I to rzekłszy, otworzył naosciez bramę niebios.

— Wejdź — odezwał się do Pitonia.

Ten nie dał sobie powtarzać dwa razy tego rozkażu i jednym susem znalazł się w środku ogrodzenia. Olśniony blaskiem Majestatu — stał teraz cichy, spokorniały z modlitewnym skupieniem na twarzy.

A Panjezus mówił do sługi swego:

— Wiesz Piotrze, ze są dwie drogi do nieba: niewinność i prawdziwa skrucha. Dzięki mojemu przybranemu Ojcu, świętemu Józefowi, człowiek ten choć wiele nagrzeszył — umierając załował szczerze za swoje przewiny i dlatego ma prawo do nieba!...

Zaraz tez do rajskich przybytków wrócili aniołowie, doktorowie, wyznawcy, dziewice, męczennicy i apostołowie, potem Pan nasz Jezus Chrystus z Bogiem Ojcem i Duchem Swiętym, dalej Najświętsza Panna, a na samym końcu święty Józef ze swoim gorliwym wyznawcą, Józkiem Pitoniem z Brzyzka.

E. Kłoniecki

M R O K

Wieczorna wszędy czai się cisza — — —
szary wokół przysiadł zmierzch.

Migocą — srebrne szybkich rzek — gościńce,
kobaltowe bloki borów posnęły już — — —
i szmaragdowo-złote pól kwadraty cicho śpią.

Za kolczastymi drutami białych gór, — —
kędyś — w kryształowej — —
ze szafirów nieb — —
alkowie
zmęczone słońce
również układa się na sen — — —

— — —

Jeno sędziwa — piastunka słonka — zorza: — — —
— — — — — cierpliwie wybiera dłań — — —
— — — jutrzejszych strojów barwne kreacje.

Rozwiesiła: — — —
na zachodniej niebios poręczy,
liturgiczną — kardynalskich szat — — purpurę, — —
zadumany — w pelerynach mistyków — — ultrafiolet —
i — z chałata tajemniczych astrologów — — gwiezdny
seledyn.

Od wschodniego atoli ziemi rąbka,
z odmętu groźnych oceanów
— — — czołga się skrycie
— — ultramaryna dalekich mórz
— i zapamiętale
plami
wszystkie,
w kolorach rozmiłowanej zorzy, — żurnale.

N i a n i u ! — — —
takim śpiący już — — —
i zimno mi!

— — Zorza troskliwie zapięła jeszcze,
— — na brylantowe guziczki gwiazd — — — —
nocną — — na piersiach pieszczocha swego — — koszulkę

— — — —

A chyży herold despotycznej nocy — Mrok — —
bezszelestnymi nietoperzów skrzydły
rączo spłynął na ziemię, — — —
by powszędy
czujne porozstawiać — „czaty" — — —

Samarytańskim puchem lotek swych
— — — studzi — — —
— — krwawy pot
— — — i bolesny życia znój
— — na skroniach
— najbardziej spracowanych
z ludzkiego mrowiska.

Niesie: — — —
ostatnie wytchnienie — — i cichy sen — — —

On — wyzwalający Thanatos — — —
milczący koiciel — — —

M r o k.

Władysław Sławid

WIOSNĄ...

Drzewa pokłonią się na wichrze...
— szumy, szelesty mocniejsze i cichsze,
a po niebie się gwiazdy roztańczą, rozmrużą,
jak to zwykle wiosenną przedwieczorną burzą...
i wśród cieni poszukam cię sercem i wzrokiem
i na chwilę się stanę najszybszym obłokiem
i otulę cię mocno samotnie przy drzewie...
i zakochasz się we mnie, zasłuchana w śpiewie
i porzucę cię znowu szybciej niźlim szukał,
szybciej niżeli serce twe radość wystuka...
i twe szczęście wraz z burzą wieczorną poniosę,
aby lecieć na skrzydłach krótkotrwałych wiosen...

Kuciel Leon



Już po obiedzie.

Mam pełen żołądek twardych, źle dogotowanych kartofli, nawet nie osolonych (nam psom solić nie warto) i teraz nic innego mi nie pozostaje jak wyszczerbiać sobie zęby na rurze od barszczu okrajanej z tłustości i wytrzęsionej ze szpiku co do odrobinki i czekać jutra.

Wszystko mięso znowu zjadł Tupcio.

Tupcio jest ulubieńcem Katarzyny, starej panny, służącej mojej pani, więc wtedy gdy państwa nie ma w domu faworyzuje tego kundla w obrzydliwy sposób.

Jak tylko widzi, że dziewczyna niesie z kuchni sagan kartofli z paroma ochłapkami mięsa — jednym słowem nasz psi obiad — obiad, na który czekamy z bijącymi sercami i niepokojem w oku — Katarzyna natychmiast wpada jak bomba do kredensu, wrzeszcząc: — Mięso dla Tupcia!

I . . . do widzenia.

Wy, inne psy — czyli ja, Lala i ty, Asie — możecie tylko powąchać, oblizywać się i patrzeć z przyzwoitego oddalenia na tę krzyczącą niesprawiedliwość

Słaniam się na nogach od tej diety.

Jedyną nadzieję pokładam w mojej pani i wyglądam jej powrotu z utęsknieniem.

Moja Pani mnie kocha — Lala, Lalusia — pieści się ze mną, więc może zauważy jak bardzo jestem wychudzona. Bok z bokiem się styka. Sama skóra i kości. Każde żeberko można mi porachować.

Podobno jestem wilczycą. Instynktów krwiożerczych nie odziedziczyłam po przodkach, raczej łagodna jestem jak te baranki, które oni pożerali, ale mięsa potrzebuję od czasu do czasu . . .

* *
*

Wracam z podworza bardzo wzburzona.

Tupcio napadł na Asa i poturbowali się nie mało.

Byłam naocznym świadkiem całego zajścia, więc wiem, że As nic nie był winien. Drzemał sobie najspokojniej na trawniku przed domem, budził się czasami i — hap, hap — łapał muchy, które mu niuch obsiadały.

Tupcio zawsze zaczyna pierwszy.

Nie znosi Asa, więc niepomny na fakt, że jest już stary i zapasiony, szuka z nim awantury ile razy go widzi.

Krąży wokoło niego, przytupuje łapami na miejscu — tak jak czerwonoskóry w tańcu — dyszy, pluje, sapie, parska, warczy i . . . rzuca się.

Dopóki As był szczeniakiem bał się Tupcia, jak ognia. Czołgał się przed nim na brzuchu i skamlał żałośnie, prosząc o łaskę, ale teraz, teraz As jest dwa razy większy i silniejszy od swego wroga, więc odgryza się z całym tupetem.

Nadartych białych kudłów Tupcia była moc. Podfruwywały sobie z wiatrem jak przędza pajęcza. Czepiały się płota, krzaków . . .

A co pisków, co skowytów, co warkotów, co kotłowaniny było na ścieżce przy bramie wjazdowej.

Katarzyna — która szyła na maszynie w otwartym oknie garderoby — usłyszała stamtąd ten niezwykły harmider i wypadła ze szczotką od zamiatania.

— Wyżeł morduje mi Tupcia! Wyżeł morduje mi Tupcia! — wrzeszczała jak opętana.

Potężna młocka spadła na grzbiet Asa.

— Haaa masz! Haaa masz! — dyszała wściekłością przy każdym uderzeniu i odgrażała się, że zatłucze na śmierć — tego przeklętego Asa!

Rozpędziła walczących, lecz obawiam się dla wyżła jakiejś wielkiej, potwornej, ludzkiej niesprawiedliwości.

Już to oni są do tego bardzo skorzy.

Pamiętam jak tu kiedyś służący, Józef, ściągnął z talerza jeden kotlet, z tych trzech, które pozostawione były na kolację, a gdy go moja pani spytała: — Józefie, gdzie się podział jeden kotlet? — Odpowiedział bez zająknienia: — Lala zjadła! (Oby ci ten jęzor skręciło).

— Zjadłaś! Zjadłaś — rozgniewała się moja pani i uraczyła mnie potężnym kopniakiem.

Gdzież tu sprawiedliwość? Gdzie logika? Przecież moja pani powinna była zrozumieć, że ta Lala nie jest znów tak ostatnio głupia i gdyby mogła dorwać się do talerza z kotletami, to nie jeden, a wszystkie trzy byłaby pożarła.

Tylko ludzie mają dar robienia czegoś połowicznie.

* *
*

Przez całuchną noc oka zmrużyć nie mogłam.

As wył bez przestanku. Wył tak strasznie żałośnie, aż mi się serce krajało. Miałam wielką ochotę mu wtórować, lecz obawa, że Katarzyna wypadnie z garderoby na wpół naga i sprawi mi lanie powstrzymywała mnie.

Ja zawsze sypiam w przedpokoju, a As w kredensie, lecz odnosiłam wrażenie, że te jego przeciągłe lamenty dochodzą moich uszów z bardzo daleka.

— Cóż to takiego? — suszyłam sobie głowę, więc rankiem, jak tylko Józef wszedł do przedpokoju, kopnął mnie w brzuch i wrzasnął: — Won, suka na dwór! — wypadłam na dziedziniec w poszukiwaniu Asa.

A szukałam go długo.

Zajrzałam do kuchni, do drwalni, do stajni cugowej. Obiegłam staw dookoła i dopiero gdy usłyszałam ujadania Tupcia w pokrzywach za chlewami pomiarkowałam gdzie należy szukać Asa.

Okropność!

Skulony, drżący, nieszczęśliwy siedział — uwiązany na łańcuchu — za wysoką przegrodą z desek.

Doczekał się. Ani się dostać do niego, ani przywitać po przyjacielsku, ani nic.

Tupcio już tam był.

Triumfował. Obwąchiwał po kolei wszystkie deski ogrodzenia, wsadzał niuch w szpary i zdawał się urągać.

— A widzisz durniu! Na kogo się to porywasz? Na moją ważną osobę? Co? No to teraz pokosztuj sobie jak smakuje kryminał i siedź sobie weń chociażby do sądnego dnia . . .

I — wrrr, i — haaw, i — dobrze ci tak!

* *
*

Tupcio ma zwyczaj podnosić łapę na meble. Specjalnie upodobał sobie adamaszkową kanapę w salonie i żardiniere z kwiatami.

Nieraz oberwałby karę za taką bezczelność, lecz Katarzyna wpadała zawsze w porę, wrzeszcząc:

— To nie Tupcio, to As!

I As karę odbierał.

Teraz, od kiedy wyżeł siedzi w więzieniu, nie może winy zwalać na niego, lecz bynajmniej nie traci rezonu. Widząc ślady przy żardinierze, wrzeszczy:

— To nie Tupcio, to . . . ogrodniczek!

(Szczęściem, że mnie, Lalę, nie może posądzać o podobną gimnastykę).

Otóż trzeba trafu, że służący Józef przyłapał dzisiaj Tupcia na gorącym uczynku przy adamaszkowej kanapie.

— Haa ścierwo! Mam cię! — wrzasnął, chwytając psa za ogon i nuże okładać go trzepaczką.

A Tupcio jest osobą delikatną i tchórzliwą. Zanim się go tknie już uderza w lament, a cóż dopiero gdy jest bity na serio.

— Auu, auu, auuu! Au, auu, auuu — desperował, aż się ściany trzęsły.

Katarzyna, która powracała z kuchni z dzbankiem wrzącej wody w garści, usłyszała z korytarza te skargi i wpadła jak furia do salonu.

Przyskoczyła do Józefa i pełen dzbanek ukropu wylała na niego.

Józef ryknął z bólu, jak zraniony lew, puścił Tupcia i odwrócił się z trzepaczką na Katarzynę

— Łupu-cupu! Łupu-cupu — walił jak w dywan.

Podarł na niej bluzkę, spódnicę, koszulę, więc obdarta i pokrwawiona uciekła z krzykiem do garderoby.

* *
*

I kto by się był spodziewał, że ta chryja z salonu ulży niedoli biednego Asa.

Józef ni stąd ni zowąd, pokochał go nagle.

Ile razy ma wolną chwilę pędzi za chlewy w pokrzywy i wypuszcza psa na swobodę.

Krótka jest ta swoboda. Katarzyna czuwa. Tupcia zamyka w garderobie, wypada z kijem na Asa i zapędza go z powrotem za deski.

Wracając stamtąd wstępuje do kredensu.

— Ty łagasie zatracony — wymyśla Józefowi — zabraniam ci wypuszczać tego psa.

— A właśnie będę! Na złość będę. Nie ty, wiedźmo, będziesz mi tutaj rozkazywała . . .

— Zamknę go na kłódkę i już nigdy, nigdy stamtąd nie wyjdzie!

— Wyjdzie. Kłódka mi nie pierwszyzna. Kłódkę ukręcę i psa wypuszczę ile razy mi się spodoba . . .

I groźnie potrząsając swą oparzoną i obandażowaną ręką, odgraża się:

— Tej oto obolałej ręki nigdy ci nie zapomnę. Ty stara małpo! A poszczuję ci kiedy twego ukochanego kundla, że żywy nie wyjdzie . . .

* *
*

Podobno rana Józefa nie chce się goić. Pojechał do szpitala. Nie ma go, ale wzamian jest kłódka.

Ogromna, żelazna, mocna trynda sobie przy skoblu.

Biedny As znowu wyje po całych dniach i nocach, lecz przyzwyczajam się po trochu do tego koncertu.

Odwiedzam go często.

Oj źle z nim, źle. Wygląda jak cień. Jego lśniąca brązowa sierść rasowego wyżła stała się szara brudna i wypada miejscami.

Zagłodzony, zapomniany, opuszczony od Boga i ludzi zapłakuje się z desperacji.

Nadomiar nieszczęścia Tupcio bardzo często zachodzi w pokrzywy. Lubi popatrzeć na swego pokonanego nieprzyjaciela.

— A co? Wesoło ci tutaj — zdaje się zapytywać i dotąd przekomarza się z więźniem, aż As doprowadzony do ostateczności rzuca się jak wściekły na deski ogrodzenia. Dławi się łańcuchem i kaleczy się dotkliwie.

* *
*

Józef powrócił.

Nie pomogła kłódka. Nie pomogła czujność Katarzyny. Dzisiaj oba psy spotkały się oko w oko.

A co się działo w sieni kredensowej opowiedzieć nie sposób.

Zdrętwiałam z przerażenia.

As ma oberwane ucho i kuleje na wszystkie cztery łapy a Tupciowi wyłażą wnętrzności z brzucha i jęczy tak strasznie żałośnie jak gdyby ostatnią parę puszczał.

Zalana łzami Katarzyna opatruje jego rany i w przeraźliwy sposób przeklina Józefa i Asa.

* *
*

No i stało się.

As nie żyje.

Gdy świniarka, która mu jeść nosiła, nadbiegła z tą wiadomością do dworu, skierowałam się natychmiast na miejsce wypadku.

Józef już tam był.

Z bańką nafty w dłoni potrącał nogą zabiedzone i sztywne zwłoki psa i wrzeszczał na całe gardło:

— Struła go ta jędza! Struła! Struła!

I oto nagle dostrzegł w pokrzywach białe kudły Tupcia, który na wpół żywy i kwękający przywlókł się tutaj z ciekawości.

— Haaa mam cię — wrzasnął i szybszy od błyskawicy rzucił się na psa i ściskając go pomiędzy kolanami, jak w kleszczach, oblał go naftą, potarł zapałkę i podpalił.

Płonąc jak żywa pochodnia nieszczęsne psisko rzuciło się do ucieczki z przeraźliwym skowytem.

Ostatnim wysiłkiem wskoczył przez okno do garderoby i na wpół zwęglony wyzionął ducha u stóp swej wielbicielki.

* *
*

Sama teraz jestem. Z nas trojga tylko ja zostałam. Zjadam już teraz wszystko mięso, ale czegoś nie bardzo mi smakuje.

Mam czarne myśli. Zastanawiam się nad ludzką potwornością i przepowiadam sobie smutny koniec.

Zapewne, gdy będę już bardzo stara i zapasiona, sprzedana zostanę na łój do fabryki świec, tak jak wierny Amorek ekonoma.

Takie rzeczy też się zdarzają.

STARE RZEŹBY NA KATEDRZE ŚW. STEFANA WE WIEDNIU

Do najpiękniejszych okazów średniowiecznej rzeźby należą plastyki na zewnętrznej fasadzie Katedry św. Stefana we Wiedniu.



CHRYSTUS NA KRZYŻU
Pod krucyfiksem stoją: Maria, Joanna i Magdalena.



POGRĄŻENI W ŻAŁOBIE
Apostołowie i Matka Boleściwa pod krzyżem.



ZŁOŻENIE DO GROBU
Piękna rzeźba pochodząca z końca XV-go stulecia.

Fot. Eurofot

X. KONCERT SYMFONICZNY

X. koncert symfoniczny, aczkolwiek zupełnie nierozafiszowany po mieście, aczkolwiek zachęcająco nie nęcił nazwiskiem solisty, wypełnił salę Uranii po brzegi. Wynik to absolutnie pewny ustalonej już solidnie reputacji Kierownictwa i dobrej marki orkiestry Filharmonii Krakowskiej i oczywiście głębokiego przeświadczenia bywalców koncertowych, że w tej czy owej formie, w tych czy owych utworach zapewne przygotowano im całą serię górnych wrażeń muzycznych. Bo przecie i program nie jaśniał utworami bardzo wybitnymi, które niezawodną swoją moc zawsze wywierają. Symfonia d-dur Nr 35 Mozarta nie należy przecie do najwybitniejszych dzieł symfonicznych Mozarta. Fr. Szmidta wariacje na temat pieśni huzarskiej — kompozycja poświęcona R. Straussowi była zupełną nowością, która zapewne z góry miała pewien urok i budziła pewne zaciekawienie. Natomiast Niedokończona H-moll Schuberta, chociaż kilkakroć już grana przez orkiestrę Filharmonii Krakowskiej, bezsprzecznie wabiła doskonałym ujęciem i wykonaniem, jakim dawniej zachwycała.

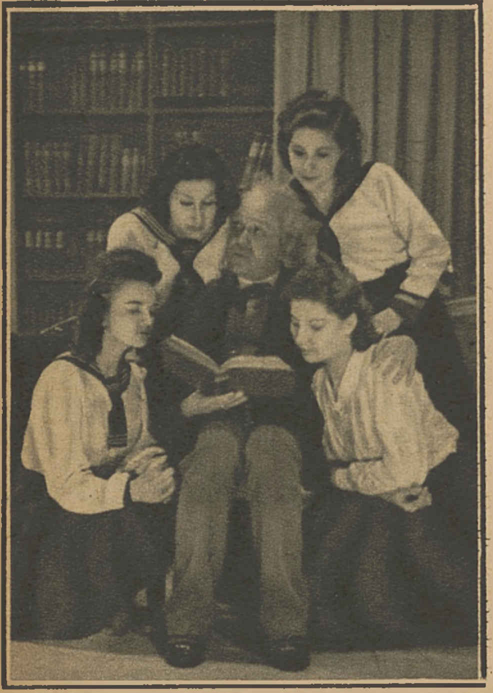
Szmidta Wariacje, potraktowane swobodnie w duchu nowoczesności, przedstawiają się jako kompozycja z dużym rozmachem twórczym i z ogromną znajomością rzemiosła twórczego ułożona. Oczywiście nacisk łożony na dobycie w pierwszym rzędzie niezwykłych barw dźwiękowych z instrumentów, zwłaszcza blaszanych. Krzyczących jaskrawości prawie, że brak; raczej pewien dość subtelnie odczuty umiar, może i kompromis z pewnymi normami dawności. Żeby z tych skomplikowanych kompleksów polifonicznych wydobyć cały urok i piękno kompozycji, potrzeba orkiestry doskonale wyćwiczonej i dyrygenta o absolutnym słuchu. Jedno i drugie złożyło się na to, że utwór Szmidta, wykonany bez zarzutu, zasłużył na długotrwałe oklaski i nawoływania do powtórzenia.

Niedokończoną Schuberta słuchało się z prawdziwą rozkoszą. W każdym szczególe subtelnie przemyślana, z niezwykłą starannością, sumiennością, pietyzmem wprost opracowana, z precyzją posuniętą do granic jak najdoskonalszych wykonana, zasłużyła na pienie pochwalne i nawet na osąd, że rzadko przydarza się ją w takiej formie słyszeć. Tragizm pierwszej części — symfonia jest cała smętna, pozbawiona omal zupełnie jaśniejszych blasków, — dobywał się na pierwszy plan, mimo pewnych przytłumień. Śpiewność drugiej części jako do pewnego stopnia przeciwwaga pierwszej promieniowała kojąco.

Całość niezrównanie — powtarzamy — odtworzona, przeżyta została przez słuchaczy.

Hindemith Mozarta umie odtwarzać — jak to już niejednokrotnie zauważyliśmy — w odpowiedniej formie, w najwłaściwszym tonie. Umie wydobyć całe piękno muzyczne w najlepszej oprawie. Symfonia d-dur brzmiała bardzo dobrze, acz frapujących momentów nie było. Ładne Andante. Finał dość silny.

Zelowski



Scena z „Matury". Prof. Cibula (K. Fabisiak) w otoczeniu uczennic.

„M A T U R A"

Sztuka Wł. Fodora na scenie Krakowskiego Teatru Powszechnego

Dziesięć lat wystarczyło, by ten, tak bardzo żywy temat „matury", owej zmory gnębiącej całe pokolenia, doczekał się zmierzchu swej aktualności, skazany na powolne odejście w mroki lamusa obrazków przeszłości.

Zagrożone istnienie matury zwaliła bezlitośnie przedwojenna reforma szkolna, a leżący, na „łopatkach" i naszym sercu, zewłok przysypała grubo — piąty rok szalejąca — zawierucha wojenna.

Czemuż jednak my, którzyśmy przeżyli na własnej skórze owe „straszne", pełne dreszczów i niepokoju, chwile przy zielonym stole, nie zauważamy — oglądając „Maturę" — przeżytku tego tematu? Bo nie matura jest istotną kanwą treści „Matury" lecz niezapomniane grono „belfrów", i to w dodatku widziane ze strony ławki szkolnej, uczniowskimi oczyma.

Stąd też wywodzi się uzasadniona karykaturalność i żywotność, snujących się po scenie, osób.



Wilkoszewska i Karasiński zachwycali w „Maturze" wspaniałymi kreacjami profesorów starej daty

Autor z dużym talentem, w sposób komediowy przesuwa przed naszymi oczyma szereg karykaturalnych postaci z grona pedagogów, ostro cieniując konflikt między starą a młodą generacją profesorów.

Sztuka sama w sobie przejaskrawiona, z domieszką tendencji i brakiem postaci pierwszoplanowych. Punkt ciężkości przesunięty na grę całego zespołu.

Maria Stróżyńska z dużą kulturą podeszła do roli Anny Mathé, podkreślając z efektem subtelność uczuć interpretowanej postaci.

Doskonałą odtwórczynię znalazła Katarzyna Seidl w osobie utalentowanej artystki Niny Karasińskiej. Katarzyna jest bezwzględnie postacią bardzo trudną do wygrania. Trzeba jednak przyznać, że interpretacja Karasińskiej jest głęboka i w dotychczasowych inscenizacjach „Matury" bez precedensu.

Maria Wilkoszewska znakomicie odtworzyła typ zgorzkniałej starej panny, profesorki Wimmer. Jej każdy gest, grymas, słowo ma swój wyraz, swój charakter, swoją siłę. Rola ciekawie pomyślana i w najdrobniejszych szczegółach opracowana.

K. Fabisiak nadspodziewanie dał w roli prof. Cibuli kreację pełną, z dużym odczuciem; bodajże najciekawszą w całej sztuce. Moment pożegnania ze szkołą i przejścia na emeryturę, zagrany po mistrzowsku z uderzeniem w najczulszą strunę człowieka.

Szkoda tylko (wina reżysera!), że w tym momencie zjawia się niepotrzebnie tercjan i jako pocieszający przyjaciel mąci tę niezrównaną scenicznie chwilę wstrząśnień wewnętrznych, dobywających się w cichym łkaniu.

Bez zarzutu grał Edmund Karasiński rolę Spindlera, profesora matematyki, pokrywając się niewątpliwie w szczegółach z intencjami autora sztuki.

Sylwetka dyrektora gimnazjum w interpretacji Cz. Strzeleckiego — niewyraźna.

Ze swobodą i gracją przeszli po scenie Markowska i Miciński w rolach nowoczesnych profesorów.

Załucki, jak zwykle, zagrał dobrze tercjana, bez nadmiaru banalnej uniżoności.

Pozostałe epizodyczne role — odpowiednio dopasowane — nie wnoszą nic nowego ni ciekawego.

Paliwoda-Matiolański



Wzruszająca scena z „Matury", gdzie uczennica Katarzyna Seidl (Karasińska) wyznaje i zapewnia swą nauczycielkę Wimmer (Wilkoszewska), o głębokiej — ku niej — sympatii całej klasy. Obok prof. Anna Mathé (Stróżyńska).

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



KĄCIK SZACHOWY NR 8

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

7. Nierozegrana czyli remis

Partię uznaje się za nierozegraną (remis): 1. Gdy partner, będący na ruchu, nie może wykonać żadnego prawidłowego ruchu, przy czym król tegoż nie jest zaszachowany. Taka pozycja nazywa się patem. Pozycję patową czarnych ilustruje diagram Nr 18.

W pozycji, przedstawionej na diagramie Nr 18 są czarne na ruchu, lecz żadną z bierek nie mogą wykonać ruchu.

Ponieważ przy pacie brak istotnego wymogu mata — tj. bezpośredniego ataku na króla (szachowania) partia taka staje się automatycznie nierozegraną, czyli remis.

Wreszcie podajemy na diagramie Nr 19 pozycję, która może się często zdarzyć w końcówce. Czarne na ruchu są w pozycji diagramu Nr 19 w pacie.

2. Gdy jeden z partnerów daje drugiemu wiecznego szacha. Pozycję przed wiecznym szachem uwidacznia diagram Nr 20.

Wtej pozycji białe grają: 1. Hh5×f7+ Kg8—h8 2. Hf7—h5+ Kh8—g8 3. Hh5—f7+ Kg8—h8 4. Hf7—h5+ itd. z wiecznym szachem na polach f7 i h5.

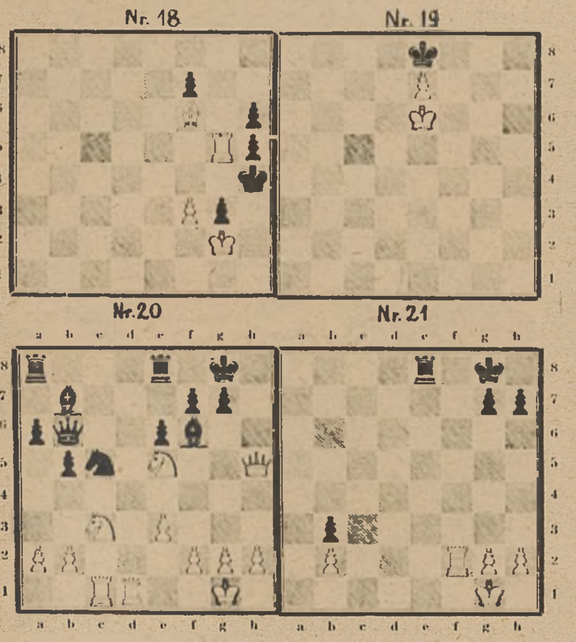
3. Wskutek powtarzania się pozycji, a to wtedy, gdy ta sama pozycja wytwarza się w bezpośredniej kolejności trzechkrotnie, przy czym posunięcie przypada na tego samego gracza (diagram Nr 21).

W tej pozycji grają czarne na ruchu: 1. We8—e1+ Wf2—f1 2. We1—e2 Wf1—f2 3. We2—e1+ Wf2—f1 4. We1—e2 Wf1—f2 5. We2—e1+ Wf2—f1 6. We1—e2 Wf1—f2 i teraz partia może być oddana za remis, jeśli jeden z partnerów tego się domaga, gdyż pozycja ta sama powtórzyła się trzechkrotnie w bezpośredniej kolejności. Uznania nierozegranej należy żądać bezpośrednio po wytworzeniu się pozycji po raz trzeci; gdy partnerzy nie oddają partii za remis, lecz grają dalej, a pozycja ulegnie zmianom, to wstecznego żądania remis na podstawie opisanego uprzednio wypadku nie uwzględnia się, gdyż sprawa ta uległa przedawnieniu.

4. Partia może być według przepisów Fide oddana za remis nie wcześniej, jak po 30 ruchach, z wyjątkiem wypadków automatycznej nierozegranej przez wieczny szach, pat lub powtórzenie trzechkrotne tej samej pozycji, które teoretycznie mogą zajść przed 30 ruchem.

5. Gdy jeden z grających udowodni, że obie strony zrobiły po 50 ruchów nie dając mata, nie bijąc żadnej bierki i nie posuwając pionów (przez 50 bezpośrednio po sobie następujących ruchów). Opierając się na tej zasadzie ma każdy z partnerów prawo zażądać w dowolnym momencie gry od przeciwnika, aby go zamatował w 50 ruchach wymienionych warunkami na początku 5.

Jeśli w tych okolicznościach nie nastąpi mat w ciągu 50 ruchów partia jest uznana za remis. Jednak po każdym biciu bierki oraz posunięciu pionem liczenie do 50 zaczyna się na nowo. Wyjątek stanowią pewne pozycje, w których według teorii dla dania mata trzeba zrobić ponad 50 ruchów. W takich razach wolno wykonać liczbę ruchów dwukrotnie większą od liczby, wskazanej przez teorię (są to wyjątkowo trudne końcówki, którymi początkujący nie potrzebują sobie zaprzątać głowy).



PRAWIDŁA GRY

§ 1) Ustawienie szachów

Szachownica powinna być tak położoną żeby białe pola narożne znajdowały się z prawej strony grających. Rozpoczynając grę powinni sprawdzić partnerzy czy szachownica leży prawidłowo i czy bierki stoją na właściwych polach.

§ 2) O pierwszym posunięciu

Losowanie, lub umowa decyduje o tym, kto ma zrobić pierwsze posunięcie (tj. kto ma mieć białe bierki.). Jeżeli partnerzy ci sami grają więcej partii, wówczas zmieniają kolor bierek bez względu na wynik poprzedniej partii. Partie unieważnione w myśl § 3 nie wchodzą tu w rachubę.

§ 3) O partiach unieważnionych

I. Jeżeli podczas partii lub po jej ukończeniu zostanie stwierdzone, że początkowa pozycja bierek była nieprawidłową, lub, że szachownica była źle ustawioną — partia zostaje unieważnioną.

II. Jeśli podczas partii zostanie zmieniona w sposób niedozwolony ilość, lub pozycja bierek, należy wznowić grę od tej pozycji, w której nastąpiła ta zmiana.

III. Jeśli nie można odtworzyć właściwej pozycji — partia się nie liczy i powinna być rozegraną od początku.

CZĘŚĆ OGÓLNA

Problem Nr 3

A. Hillbricht (pochw. w konk. Sypniewski Memorial 1933)
Czarne: Kd3, Sh7, piony: a4, a3, c3, e2, g5 (7).
Białe: Ke1, Hg1, Ge6, Sc2, pion: g4 (5).
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie studium Nr 3 (Kubbel):

1. S—c5 H—c6 (A, B, C). 2. S—e6+ K—e8, 3. e5 (musowe) H—e4 (—a4 lub —b7) (D, E, F, G, H, I). 4. G—h5+ K—d7 5. S—c5+ i wygrywa.

(A) 1 . . . H×a5 lub H—d6 2. S—b7+ i wygr.
(B) 1 . . . H—b5 2. S—e6+ K dow. 3. S—d4 lub —c7+ wygr.
(C) 1 . . . H—g6 2. S—e6+ K—e8 3. G—h5 H×h5 4. S—g7+ i wygr.
(D) 3 . . . H—a8 (—a6, —b5, —d5) 2. S—e7+ i wygr.
(E) 3 . . . H—c8 2. S—g7+ i wygr.
(F) 3 . . . H—d7 4. G—h5 mat.
(G) 3 . . . K—d7 (lub —f7) 2. S—d4 (ew. —d8)+ i wygr.
(H) 3 . . . a6 2. K—h2 itd. wygr.
(I) 3 . . . h5 2. g×h6 itd. wygr.

Partia Nr 6

Białe: N. N. Czarne: J. H. Blackburne
grana w Bristolu w r. 1869.
Gambit skoczka królewskiego.

1. e2—e4 e7—e5	6. Hd1—b3 [2]) g4×f3
2. f2—f4 e5×f4	7. Gc4×f7 Ke8—f8
3. Sg1—f3 g7—g5	8. Gf7×g8 Wh8×g8
4. Gf1—c4 Gf8—g7	9. 0—0 [3]). Czarne zapowiedziały mata w 9 pos.[4]).
5. c2—c3 [1]) g5—g4	

U W A G A :
[1]) Lepiej 5. 0—0.
[2]) Białe nie mają na tyle rozwoju, aby móc sobie na to pozwolić.
[3]) 9. g×f3 lub 9. d4 było dużo lepszym.
[4]) 9 . . . G—d4+ itd.

HISTORIA



BEZ SŁÓW

Das Illustrierte Blatt

Ona: — Dziś słyszałam o tobie takie rzeczy, że straciłam ze zdumienia mowę.
On: — Jaka szkoda! To teraz już pewnie nigdy nie dowiem się o tym.

*

Dwóch przyjaciół spotyka się:
— Wyobraź sobie — mówi jeden z nich — że hrabia Karol jest urodzonym sangwinikiem.
— Nie może być! — dziwi się drugi — nigdy bym tego nie przypuszczał, tak płynnie mówi on po polsku.

*

Na rynku małego miasteczka stoją dwie toalety. Na jednej z nich umieszczono napis: „Tylko dla miejscowych", na drugiej: „Tylko dla gości".
— Dlaczego to urządziliście? — zapytuje jednego z tamtejszych obywateli pewien przejezdny.
— Chcieliśmy w jakiejś formie uczcić letników spędzających u nas urlop.

*

— O, jakaż to niespodzianka spotkać panią po tylu latach. Trzeba jednak przyznać, że pani się ogromnie zmieniła od czasu naszego ostatniego widzenia się.
— Czy na korzyść?
— Przecież pani chyba mogła się już tylko i jedynie na korzyść zmienić.

*

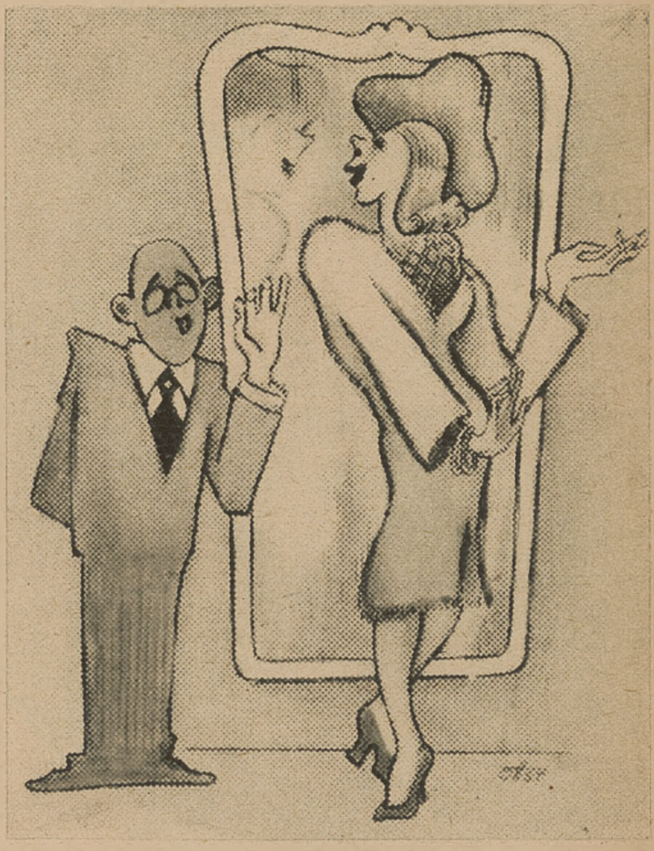
Pan Ignacy podarował swojej żonie małego pieska na imieniny
— A jakiej rasy jest ten piesek — zapytuje go ucieszona żona.
— Hm, — odpowiada pan Ignacy — musimy trochę zaczekać, a zobaczymy, co z tego zwierzęcia wyrośnie.

*

— Proszę sobie wyobrazić, przed 150 laty ludzie nie znali jeszcze kolei żelaznej!
— Co pan mówi! A cóż wtedy robili biedni urzędnicy kolejowi?



— W ten sposób nigdy nie uśpimy tego pacjenta, panie profesorze, gdyż jest on z zawodu bokserem i gdy doliczamy do dziewięciu zrywa się natychmiast na równe nogi. Wiener Illustrierte



— Nadzwyczajnie pani do twarzy w tym futrze z małp amerykańskich, wygląda pani całkiem tak, jakby się w tym futrze urodziła! Die Grune Post

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

W KOLO MACIEJU...

Małego robaczka, co się krył gdzieś w glebie,
Wygrzebawszy, zjadła kura w swej potrzebie:
Kurę — lis przyłapał, gdy zbyt zaszła w pole,
Skończyła mu w brzuchu, miast na ludzkim stole.
Lisa zaś wilk pożarł, gdy zbyt cierpiał z głodu,
Kolegi oszczędzać nie miał więc powodu.
Wilka połknął lampart, lamparta lew krwawy,
Lwa — chyba słoń tylko (tak trzeba dla sprawy —
Zresztą mi wybaczcie te troszkę nieprawdy,
Bom miał z zoologi w szkole „dwóję" zawdy)
Wracając do rzeczy — któż słonia miał pożreć?...
Zbyt trudno oprawcę jego w faunie dożreć...
Lecz ja, choć miewałem „dwóję" z zoologii,
Znalazłem zwierzęcej szlak martyrologii...
Bo oto — i słonia, zaraz po pogrzebie
Zjadł... mały robaczek, co się krył gdzieś w glebie.

— la —

*

— Chciałem ci przywieźć z krajów tropikalnych małpkę, ale nie mogłem żadnej złapać.
— Nic nie szkodzi mój drogi, mam przecież ciebie.

W obrębie gminy Kurza Stopka dopuszczono się kradzieży. Wójt Kasper Spirytusek wraz z pisarzem Atanazym Chlipałą zabierają się do spisania protokółu. Pisarz zaczyna:
— Na miejscu przestępstwa znaleziono napełnioną butelkę...
— Czekaj pan — odzywa się głowa gminy. — Przecież trzeba napisać, czym była napełniona. To ważne dla dochodzenia.
— Rum — odpowiada pisarz, pociągnąwszy spory łyk z butelki.
— Nie, przepalanka! — oponuje wójt, — pociągnąwszy również dobrze.
— A ja obstaję przy rumie — odpowiada Chlipała, próbując dość długo. Wkrótce butelkę wypróżniono.
— Pisz pan — decyduje wójt, — że znaleziono pustą butelkę i pomimo wszelkich z naszej strony zabiegów, nie można było dojść, co zawierała.

*

Do lekarza sądowego przychodzi znany utracjusz.
— Panie doktorze — powiada — przychodzę z wielką prośbą . . .
— No?
— Wobec moich wielkich długów mam tylko jedno wyjście, aby się ratować. Niech pan będzie łaskaw wydać mi świadectwo na piśmie, że jestem niespełna rozumu.
— Czyż na to potrzeba aż lekarskiego świadectwa?

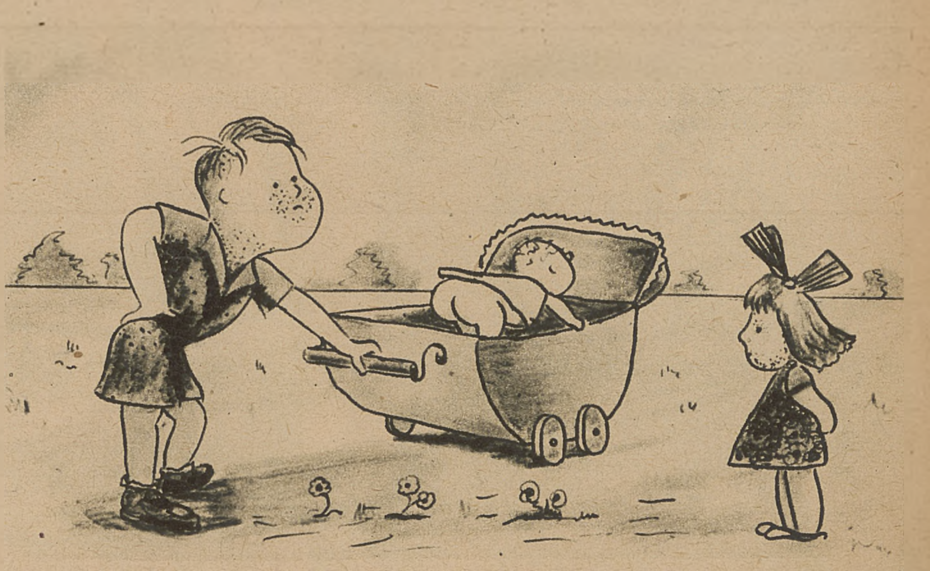
*

— Gdyśmy byli narzeczonymi okazywałeś mi o wiele więcej uczucia. Zawsze siedzieliśmy obok siebie, a ty trzymałeś mą rękę w swych dłoniach, a teraz?
— No, tak, ale teraz nie mamy fortepianu, na którym grywałaś wówczas, i ja chciałem tylko przeszkodzić twej grze.

*

— Czy nie masz papierosa, mój przyjacielu?
— Ależ chętnie ci służę. Słyszałem tylko, że chcesz się odzwyczaić od palenia.
— To prawda. Ale postanowiłem odzwyczajać się powoli. Na razie przestałem palić własne papierosy.

KĄCIK KARYKATURZYSTY



SĄSIEDZKA POGAWĘDKA

— Dlaczego u was nie ma małego dziecka?
— A bo bocian jeszcze nie przyniósł!
— Eh, jeśli wy nadal będziecie wierzyli w bociana, to na pewno nigdy u was małych dzieci nie będzie!

Rys. J. Paluch — Kraków

Czerwony Kapturek

„Ludzie dodają słowo do słowa i tak powstaje bajka ludowa".

Niewątpliwie. Ale jakże krańcowo różne są efekty jednej i tej samej bajki, gdy opowiada ją dwoje innych ludzi. Odmienny świat wymaluje nam człowiek prosty o małym zasobie słów, a bezsprzecznie inny — zawołany gawędziarz o wybitnych zdolnościach narracyjnych; nie mówiąc już o maksymalnie wspaniałych efektach, jakie można osiągnąć przy pomocy bogatych środków, właściwych scenie.

Co się zaś tyczy bajek dla dzieci, to niezbędną a nawet konieczną w tych poczynaniach, jest dokładna znajomość psychiki dziecięcej.

Dziecięca wyobraźnia — przebogata i wrażliwa — pozwala dziecku wczuwać się głęboko w losy przedstawionych istot; przy czym ta właśnie silna reakcja dostarcza całej gamy treści uczuciowych, co ma duże znaczenie dla rozwoju psychicznego dziecka.

Bliższe poznanie owej niewykorzystanej i zaniedbanej dziedziny pozwoliłoby nam na odpowiedniejsze i łatwiejsze wychowanie i urobienie młodych dusz.

Brak miejsca nie pozwala na obszerniejsze omówienie istotnych wyników naukowych badań owych przebogatych zjawisk. Pewnym jednak jest, że bajek należy uczyć z równym pietyzmem jak pacierza. Rozumiejąc powyższe, nie zdziwimy się, jeśli na półkach księgarskich nie widzimy dzisiaj żadnych nowości wydawniczych prócz bajek i opowiastek dla dzieci.

Doceniajmy więc potrzeby naszych dzieci i twórzmy im ów wyśniony świat fantazji, ubierzmy go w wieczną radość i tęczowe lśnienia, by, kiedy idące życie obedrze, z biegiem lat, ów zaklęty miraż i pokaże twardą drogę rzeczywistości, po której, borykając się trzeba będzie kroczyć, bez widoku ideału, niechże więc choć w nich — tak jak my — znajdą zapomnienie i osłodę doli, i niech one staną się ową skarbnicą myśli i uczuć strojących życie w piękno i zapał.

P. M.







Nasze zdjęcia przedstawiają kilka scen z bajki W. Trojanowskiej pt. „Czerwony Kapturek", wystawionej w K. T. P.; z oprawą muzyczną Radzika, reżyserią Fabisiaka, i tańcami układu I. Michalczykówny.

Na lewo u góry: Czerwony Kapturek opowiada leśniczemu o tym, jak wilk połknął babcię. Obok przysłuchuje się Kajtuś.
Na lewo: Czerwony Kapturek w otoczeniu trzech krasnali (Kuczyński, Markiewicz, Czopek) którzy wnieśli na scenę sporo szczerego humoru.

Powyżej:
Efektowny taniec „bogini rosy" (I. Michalczykówna).
Poniżej:
Naiwny Czerwony Kapturek (Matyczanka) słucha i wierzy w zapewnienia wilka.

